Rok V. Kraków-Podgórze, Niedziela 10 Lutego 1907 Nr. 40

4 Cena Numeru wszędzie Centy (8 halerzy).

PRENUMERATA

miesięczna wszędzie, zarówno w Krakowie jak na prowincyi 2 K. już z dostawą do domu, względnie z przesyłką pocztową. — **Prenumerata za granicą** 2 marki, 3 franki, 1 rs. 20 kop.

POJEDYNCZE EGZEMPLARZE NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH AGENCYACH PISM i NA WSZYSTKICH DWORCACH KOLEJOWYCH.

NOWINY

Dziennik niezawisły demokratyczny illustrowany.

OGŁOSZENIA

za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 3 Kor. — Załączniki 20 Kor. za tysiąc.

Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. M. Hupczyc.

Administracya „NOWIN“: ulica Zacisze L. 7. otwarta od 9—1 w południe i od 3—5 popołudniu.

Na Lwów Skład i Ekspedycya: Agencya Sokołowskiego, Pasaż Hausmana L. 2.

Redakcya i Administracya „Nowin“: Kraków, ul. Zacisze L. 7, Tel. 512, Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 w południe. — **Ekspedycya** „Nowin“ poranna w drukarni Rynek gł. L. 8.

REDAKTOR NACZELNY: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje Redakcya (Tel. 512) od godziny 9 rano do godziny 8 wieczorem w biurze przy ul. Zacisze 7, Rękopisów nie zwraca się.

„NOWINY“ wychodzą wieczorem o 5 i zrana o 8. Cena numeru 4 ct. (8 hal.). W poniedziałki i dni poświąteczne „Nowiny“ wychodzą o 9 zrana. Cena 2 ct.

Polityka antypolska.

Wynik wyborów w Poznańskiem i na Górnym Śląsku, mianowicie zdobycie 4 nowych mandatów przez Polaków, zaniepokoiło hakatę. Gadzinowy organ rządowej hakaty „Nordd. Allg. Zeitung“ — w następujący sposób uspokaja hakatystów i usiłuje przekonać ich o **skuteczności antypolskiej polityki.**

Warto poznać wywody najgorszego naszego wroga:

„Nordd. Allg. Ztg.“ pisze pod tytułem „Powodzenie polityki w prowincyach wschodnich“: Tematem szczególnie ulubionym przez naszych czarnowidzów jest fiasco pruskiej polityki w prowincyach wschodnich. Także nasi wrogowie wewnętrzni i zagraniczni bezustannie głoszą bankructwo tej polityki. Niestety wiadomości te znalazły wiarę także w kołach narodowo usposobionych, tak, że rząd w konsekwentnem przeprowadzaniu celów kolonizacyjnych nie spotykał się z takiem zaufaniem i poparciem narodu niemieckiego, jak to było pożądanem i potrzebnem. A przecież już obecne cyfry i fakty dowodzą, że obrana przez rząd droga była odpowiednią i że **pruska polityka** w prowincyach wschodnich, przy konsekwentnem dalszem jej prowadzeniu, **będzie miała powodzenie.**

Przedewszystkiem możemy wskazać na rezultaty spisu ludności z r. 1905, z którego wynika, że zaczynające się w r. 1867 i jeszcze w latach dziewięćdziesiątych trwające ciągłe liczebne przesuwanie się stosunku narodowościowego na niekorzyść Niemców wreszcie ustało i że zaczyna się zwrot ku lepszemu. Zjawisko to, nader ważne dla całego rozwoju obu narodowości w obrębie terenu walki narodowej, polega niewątpliwie w pierwszej linii na rozległej działalności komisyi kolonizacyjnej. Zrozumie się to zaraz, jeżeli się zważy, że **komisya kolonizacyjna obecnie osiedliła znowu 32 mil kwadratowych ziemi i że na nich stworzyła nie mniej jak 12.415 nowych gospodarstw włościańskich w 315 nowych wsiach.** Wsi te, łącznie z zajętemi tam 5.000 niemieckich rodzin robotniczych tworzą ludność niemiecką, liczącą okrągło **96.900 Niemców, których należy policzyć jako zysk niemieckości.** Obok i w uzupełnieniu tej czynności komisyi kolonizacyjnej, dopiero ostatnimi czasy poczyniono szereg zarządzeń, przyczyniających się do popierania przypływu robotników rolnych.

Widoki działalności kolonizacyjnej dla całego stanowiska niemczyzny, specyalnie w prowincyi poznańskiej, najlepiej przedstawi rzut oka na obecny podział stanu posiadania ziemi między obie narodowości. Obecnie z 2,750.000 hektarów ziemi rolnej prowincyi, mimo poważnych strat w ubiegłych okresach, jeszcze ciągle znajduje się w niemieckiem posiadaniu prywatnem 1,140.000 hektarów, około 157.000 hektarów w posiadaniu komisyi kolonizacyjnej, 296.000 hektarów w posiadaniu fiskusa domen i lasów, a więc razem okrągło **1,593.000 hektarów w rękach niemieckich.** Natomiast **w polskich rękach znajduje się około 1,100.000 hektarów**, łącznie z 38.000 hektarów posiadłości kościelnej. Reszta, okrągło 43.000 hektarów, znajduje się w posiadaniu publicznych korporacyj o charakterze przeważnie niemieckim. To też utrzymanie i rozszerzenie przewagi ekonomicznej Niemców, przy takim stosunku stanu posiadania i przy odpowiedniem energicznem wzmacnianiu żywiołu niemieckiego — jest możliwem. Jeżeli się zważy, że celowa akcya rządu w kierunku systematycznego wzmacniania niemieckości i konsekwentnego przeprowadzania polityki w prowincyach wschodnich, rozpoczęły się zaledwie przed ośmiu laty, to można być zadowolonym z tego, co się osiągnęło, zwłaszcza, że energiczne wytrwanie w rozpoczętej raz polityce gwarantuje ciągły dalszy postęp niemieckości.

W związku z przytoczonym materyałem wyniki ostatnich wyborów do parlamentu zyskają należyte oświetlenie, jeżeli się podniesie, że wzrost niemieckich głosów przewyższa o 150 proc. wzrost głosów polskich. Z tego faktu i z przewagi, w jakiej się Niemcy wobec Polaków utrzymali we wszystkich korporacyach komunalnych, należy wnioskować, że musi się powieść zjednoczenie wszystkich kół niemieckich, które wystąpiło w pocieszający sposób ostatnimi czasy na wszystkich polach politycznych. Dominujące stanowisko niemieckości w prowincyach wschodnich — to jest kwestya żywotna całej przyszłości narodu niemieckiego, ostatecznego jego wzmocnienia i po wszystkie czasy zabezpieczenia.

Długoletnim staraniom komisyi kolonizacyjnej udało się w corocznie się wzmagającym przypływie kolonistów niemieckich do prowincyj kolonizowanych, zarówno z Niemców krajowych, jak ze starych niemieckich obszarów kolonizacyjnych z zagranicy, posyskać najcenniejszy materyał w ludziach. Nie powinno się zaniechać wyzyskania danej przez to możności wzmocnienia niemieckości w prowincyach wschodnich i dlatego naszym rodakom, zwracającym się na wschód, musi się bezwarunkowo oddawać potrzebne przestrzenie w naszych prowincyach wschodnich. Jeżeli się na tej drodze uda trwale wzmocnić ludność niemiecką, to twierdzenie, jakoby polityka polska rządu uczyniła *fiasco*, ostatecznie umilknie.



Tajemnica krwawej ręki. (Patrz artykuł na str. 2).

Epilog sprawy Doboszyński-Boishebert.

Odnośnie do korespondencyi z Rzeszowa, zawierającej motywa wyroku w powyższej sensacyjnej sprawie eksposła Doboszyńskiego otrzymujemy list z Sądu Obwodowego, który poniżej zamieszczamy:

„W numerze 30 czasopisma „Nowiny“ umieszczono na stronicy 1 w szpalcie drugiej korespondencyę z Rzeszowa pod napisem: „Wyrok w procesie Doboszyński-Boishebert“.

W artykule tym naprowadzone zostało, że oskarżeni Jan de Boishebert i dr Goldberg zostali zasądzeni jedynie za przekroczenia obrazy czci w kilku wypadkach, **w których ustawa niedopuszczała dowodu prawdy.**

Ponieważ powyższa korespondencya, pomijając już błędnie naprowadzone pobudki wyroku, mieści w sobie stan rzeczy nieodpowiadający rzeczywistości, skutkiem czego sprawa przeciw pomienionym oskarżonym błędnej krytyce uledz by mogła, śmiem upraszać Szanowną Redakcyę o bezzwłoczne umieszczenie w swoim czasopiśmie prawdziwego, a poniżej naprowadzonego stanu sprawy:

„Oskarżeni Jan de Boishebert i dr Goldberg uznani zostali winnymi licznych prze-

Nowy
Żyd wieczny tułacz

85 *według Eugeniusza Sue*

opracował Walery Tomicki.

Ciąg dalszy.

Był to żal szczery, głęboki; człowiek ten czule kochał swoją matkę; to boskie uczucie zachował dotąd niezmienne pośród wszystkich koleł swojego życia... często występnego.

Po chwili milczenia rzekł:

— Będziesz odbierał rozkazy od pana Duplessis, z nim będziesz pracował. Jemu oddasz notę, tyczącą się medali, a on wie, komu ją oddać; odpiszesz do Batawii, do Lipska i do Charlestown w wiadomy ci sposób. Nie pozwalać wszelkiemi sposobami, ażeby córki jenerała Simon opuściły Lipsk. Przyspieszyć przybycie Gabryela do Paryża, a w razie gdyby Dżalma przybyć miał do Jawy, napisać do pana Josuego, że się liczy na jego gorliwość i że go tam powinien zatrzymać.

Wydawszy polecenie sekretarzowi, wrócił do swego mieszkania.

Rodin zajął się korespondencyami i napisał je cyframi tajemnemi.

We trzy kwadranse dał się słyszeć dzwonek koni pocztowych.

Stary sługa wszedł, zapukawszy wprzód do drzwi.

— Już zaprzężono — rzekł.

Rodin dał znak skinieniem głowy, sługa wyszedł.

Sekretarz sam poszedł zapukać do drzwi pokoju swego zwierzchnika.

Ten wyszedł z listem w ręku.

— Niechże trzy listy — do Lipska, Batawii i Charlestown — odejdą dziś nawet, *zwykłą* drogą, bo to rzecz największej wagi. Wiesz o tem.

Takie były ostatnie słowa tego człowieka.

Rodin wrócił do pokoju i przypatrywał się globusowi. Płaskim i brudnym paznogciem uderzał we trzy miejsca, w których widać było czerwone kropki i, w miarę oznaczania miast, leżących w tak odległych krajach, mówił do siebie:

— *Lipsk... Charlestown... Batawia...*

Potem dodał z ironicznym uśmiechem:

— W każdem z tych tak od siebie odległych miast znajdują się osoby, nie wiedzące o tem, że stąd, z tej zakątnej uliczki, z tej izby, patrzy się na nie, że się uważa na wszystkie ich poruszenia... że się wie o wszelkich ich postępkach... i że stąd wychodzą nowe rozkazy ich dotyczące, rozkazy, które wykonane zostaną bez najmniejszej litości... gdyż idzie tu o sprawę, potężnie wpływać mogącą na całą Europę... na cały świat!... Lecz szczęściem, mamy przyjaciół w Lipsku, w Charlestown i Batawii.

Ten staruszek brudny, nędznie ubrany, jak wybladła martwa maska, który dopiero co, iż tak powiemy czołgał się po globusie, wydawał się bardziej jeszcze niż jego zwierzchnik przerażającym... gdy tamten o wyniosłej postawie, z miną rozkazującą, położył rękę na globusie, który jakby owładnąć chciał zuchwałą pychą.

Jeden podobny był do orła, unoszącego się nad upatrzoną zdobyczą... drugi do płazu ściskającego ofiarę swemi zwojami...

. . . .

Kiedy ci dwaj ludzie z głębi owego ponurego zakątka knuli spisek, w który miały być wplątane cztery osoby niegdyś wygnanej rodziny... jednocześnie nadzwyczajny, tajemny opiekun przemyśliwał nad obroną tejże rodziny... jako swojej.

Straszliwy opiekun-wędrowiec.

Smutna i dzika okolica...

Jest to wzgórze, najeżone tu i owdzie ogromnemi skałami granitu, z pomiędzy których gdzieniegdzie wznoszą się pożółkłym, jesiennym liściem okryte brzozy i wielkie, posępne, zielone jodły, rzucające cienie na czerwone tło, które pozostawiło zachodzące słońce.

Rzekłbyś, że to obraz odbitego pożaru.

Ze szczytu tego wzgórza widok rozciąga się na głębokie, ocienione, urodzajne doliny, ledwie nawpół zasnute lekką mgłą wieczorną...

Żyzne błonia, cieniste gaje, uprzątnięte z dojrzałych kłosów pola, coraz bardziej łączą się w ciemne, jednostajne tło, które odbija wydatnie od przeźroczystego błękitu nieba.

Tu i owdzie z tych dolin strzelają ostremi szczytami dzwonnice, tu czerwoną dachówką, tam siwym łupkiem pokryte... Są to wskazówki wielu rozrzuconych osad.

Nadeszła godzina spoczynku, godzina, o której zwykle przez wszystkie okienka chatek widać,

kroczeń obrazy czci z § 487, 488 i 491 u. k. na szkodę dra Adama Doboszyńskiego, z których wszystkie dopuszczały dowód prawdy i że oskarżeni ci nie zostali uznani winnymi żadnego takiego przekroczenia obrazy czci na szkodę dra Doboszyńskiego, któreby dowodu prawdy nie dopuszczało".

Rzeszów, dnia 4 lutego 1907".

(Stampilia prezydyum c. k. sądu obwodowego).

Bezczelność właściciela „Nowej Reformy" czyli nowy cud w aferze pana eksposła Doboszyńskiego.

Jak wiadomo, ustawa prasowa w §. 22 zabrania zamieszczać komentarz do „sprostowania urzędowego" w tym samym N-rze pisma, w którem ono zostało zamieszczone. Dlatego do listu, z prezydyum sądu obwod. z Rzeszowa nie możemy dodać żadnych uwag.

Z okazyi jednak tego sprostowania organ szan. pana Doboszyńskiego, „Nowa Reforma" dopuściła się **nowego fałszerstwa**, nad wyraz bezczelnego.

„Nowa Reforma" odważyła się sfałszować nawet **urzędowe sprostowanie**. Pan Doboszyński widocznie nie cofa się już przed niczem. Zanim my otrzymaliśmy list z sądu i mogliśmy go wydrukować, „Nowa Reforma", na dzień **przed „Nowinami"**, w N-rze wieczornym z piątku 8 b. m. **odważyła** się ogłosić, co następuje:

Sprawy sądowe.

(Zbrodnia oszustwa „markiza" Deschamps de Boisbebert i dra Jakóba Goldberga).

Ponieważ krakowskie „Nowiny" podały treść wyroku z tego procesu nieprawdziwie, przeto c. k. Sąd obwodowy w Rzeszowie przesłał z urzędu „Nowinom" następujące sprostowanie:

„Nieprawdą jest, że oskarżonych uwolniono od oszczerstwa z tego powodu, że im się udał dowód prawdy, przeciwnie prawdą jest, że Trybunał przyjął zbrodnię oszczerstwa za udowodnioną przedmiotowo, uwolnił zaś oskarżonych jedynie dla braku złego zamiaru do zbrodni wymaganego.

Co do obrazy czci: Nieprawdą jest, by zasądzenie nastąpiło tylko w kilku wypadkach, w których dowód prawdy jest niedopuszczalny, a natomiast prawdą jest, że zasądzenie nastąpiło w licznych wypadkach, z których w żadnym dowód prawdy nie był wykluczony, przeciwnie oskarżeni wprowadzili ten dowód, który jednakowoż im się nie udał".

Zaiste, za sprawą pana Doboszyńskiego dzieją się cuda! Pan Doboszyński znał tekst „sprostowania" sądowego, zanim ono w „Nowinach" zamieszczone zostało — i drukuje je sobie w swoim posłusznym dzienniku na dzień przed „Nowinami" — **tylko, niestety, tekst oryginalnego „sprostowania" w „Nowinach" różni się zasadniczo od rzekomego „sprostowania"**. zamieszczonego w „Nowej Reformie"!

Pan Doboszyński, względnie organ jego „Nowa Reforma", dopuścili się znowu najbezczelniejszego *fałszerstwa*, które każdy stwierdzi, kto oba sprostowania porówna. Czytelnicy „Nowej Reformy" nie mają jednak przeważnie tej możności, zresztą nikt nawet nie uważałby za możliwe, aby podobnego fałszerstwa dziennik mógł się dopuścić. — Pan Doboszyński zatem już teraz w oczach swoich czytelników uchodzić może za porządnego człowieka: dopuścił się bowiem znowu tylko maleńkiego fałszerstwa, sfałszował *ad usum* swych czytelników tekst aktu sądowego. Oczywista, panu eksposłowi i radcy, panu Doboszyńskiemu wszystko wolno.

Co do nas, z góry oświadczyliśmy drukując korespondencyę z Rzeszowa *streszczającą* motywa wyroku, **uwalniającego** pp. dra Goldberga i Boisheberta od zarzutu oszczerstwa, od zarzutu oszusta i od **kilkunastu zarzutów obrazy czci**, że postaramy się też o wydrukowanie motywów w całości, nie w streszczeniu. — Czy p. Doboszyński w „Nowej Reformie" uczyni toż samo?

MIĘSOPUSTY.

(Z pism Wacława Aleksandra Maciejowskiego).

Kiedy nadchodził post 40-dniowy (w wieku XVI.), gdy mięso puścić czyli zaniechać trzeba było, poprzedzający go mięsopust dozwalał czynić, coby kiedyindziej było zgorszeniem. Wtedy godziło się chodzić po ulicach i dać się poprzedzać muzyce, umyślnie na to zgodzonej. Wtedy szlachta, zawitawszy pod wiechę karczemną, miewała pocieszne sceny, gdzie niejednemu i we troje łeb rozbito, gdzie panów broniąc słudzy, ci do szabel, a ci brali się do półhaków, a wypadłszy za drzwi, rąbano się na ulicy. W tym to czasie próżniacy i rozpustnicy szlifowali miejskie bruki, strzelali po próżnicy, a po ulicach wszędzie było pełno skrzypiec i dudów. — Wrzaski i hałas weselącej się gawiedzi zagłuszał przechodzących. Słysząc te zgiełki, powiedziałbyś, że dobrze mówią Turcy, gdy utrzymują, że są czasy, w których chrześcijan odchodzi rozum i nie wprzód do rozumu przychodzą, aż im ksiądz na głowę posypie popiołu. Ci prowadzili chłopa ubranego w grochowiny; ci złapawszy młodzieńca, kazali mu obnosić lagier w kobiele. Jeden trzymał w kuflu drożdże, częstując niemi przechodzących dla żartu, drugi mańką im gorzałkę pokazywał i sam spijał, nic im nie dawszy. Zwodnicy musieli nagabniętych posilić piwem i gorzałką. Idą więc tam, gdzie zielone wiechy, gdzie w oknach widać karty, szachy i warcaby, niby wabiki na ptaszki. Tu obrotna karczmarka uwija się po izbie, nosi talerz z kreskami, znacząc, ile kto wypił i co za to winien. Gdy zebrała pobór, dawała nowy rozkaz kucharce przynieść piwa z piwnicy.

Było tam pełno różnego ludu, wiele poczciwych i wiele podejrzanych obcych ludzi, gawiedź miejska przy garncu piwa, kupionym za 8 groszy, lub kwarcie gorzałki za złoty, zabawiała się karteczkami, zapłaciwszy za to karczmarce 3 grosze, zapaliwszy sobie świeczkę kupioną za grosz. Tam siedzi o rzeczach krajowych politykująca drobna szlachta, mieszczanie i kmiecie, o rokoszu i o królu, udzielając sobie wiele nietrafnych nowin. Mądre ich rozprawy głuszyły serbskie skrzypice i dudy, tudzież skoki tanecznikow. Skoro przezorna karczmarka spostrzegła, że i młodzi zaczynają się wtrącać do rozmów politycznych, mało pijąc i jedząc, podmówiła dziewki, ażeby rozpoczęły tańce. Wchodzą tedy panienki po parze, ukłonią się całemu towarzystwu i jedna drugą ująwszy dłonią rej wodzi po karczmie. Wywabiona z za stoła politykująca młodzież wychodzi w tany i idzie o zakład. kto lepiej skakać i wywijać potrafi, a wieniec staje się nagrodą zwycięscy. Kiedy się już dosyć natrzęśli, siadają za stół i potężnie jedzą, aż ich na nowo bąk brzęczący poruszy. Dziewice podmawiają najśmielszą, ażeby co pięknego zaśpiewała. Zaczyna ona słodkim głosem, a młodzież powtarza odśpiewane słowa.

Po wieczerzy mięsnej w ostatni wtorek, dawano około północy mleko, jaja i śledzie na znak rozpoczynającego się postu i niby po stopniach od mięsa przez nabiał do śledzia przystępując. Kolacya ta zwała się „podkurek" i była w użyciu zarówno u wszystkich, tak w domach wielkich jak małych.

Po miastach we wstępną środę, czeladź jakiego cechu poubierawszy się za dziadów i cyganów a jednego przebrawszy za niedźwiedzia w czarny kożuch włosem na wierzchu i około nóg poobwiązywanego, wodzili go od domu do domu, różne figle z nim dokazując, grosze od pospólstwa, chciwego na takie widoki, otrzymując.

Najpowszechniejszym na wsiach w ostatni wtorek był zwyczaj obwożenia przez parobczaków kurka drewnianego na dwóch małych kółkach z dyszelkiem, na którego to kurka, jakby na spożycie prawdziwego koguta dziewki i gospodynie po chatach zapraszali, a te dawały im za to ser, masło, szperki, kiełbasy lub jaja, do czego potem przykupiwszy gorzałki i piwa ucztę zapustną wyprawiali.

We wstępną środę po miastach żaki i chłopcy czatowali na wchodzącą do kościoła płeć nadobną i przypinali jej z nienacka na plecach kurze nogi, indycze szyje, skorupy od jaj i kości uwiązane na sznurku lub nici z zakrzywioną szpilką, jak wędka do zaczepiania u sukni. Niewiasta lub dziewica, nie wiedząc o tem, pięknie przybrana, postępowała przez kościół z dobrą miną i wiszącym na plecach kawałcem, pustego z siebie śmiechu stawała się przyczyną i sama na koniec od kogo roztropnego przestrzeżona i od wisielca uwolniona zarumienić się musiała.

Tajemnica krwawej ręki.

(*Patrz ilustracyę na stronicy tytułowej*).

Tajemnicze morderstwo zaprząta nie mało policyę w Nowym Jorku. Pewnego dnia znaleziono kupca Karola Henry, który zwinął swój interes i żył z renty, zamordowanego przed drzwiami swego pokoju, w domu przy South Portland av. 95.

Henry liczył lat 71, a posiadał znaczny majątek. Na starość zdziwaczał i nieznośny okazywał charakter. Z trzech synów jeden, najstarszy, Charles, przebywał w sanatoryum w Ward Island; średni, Walter, opuścił dom rodzicielski i utrzymywał się sam z własnej pracy. Uchodził za „dobre" dziecko i „porządnego" chłopca; ożenił się dość wcześnie i osiedlił się we Flatbusch; z nim razem zamieszkała matka, oraz najmłodszy syn William. Stary Henry żył sam w Nowym Jorku.

Ów najmłodszy William zażywał złej opinii; pił i hulał, ale matka kochała go najbardziej, jako najmłodszego.

Pierwsze doniesienie o śmierci ojca zrobił „dobry" Walter. Doniósł mianowicie policyi, że chciał ojca odwiedzić, zastał jednak wszystkie drzwi zabarykadowane. Komisarz policyi udał się z Walterem do domu wskazanego — i istotnie okazało się, że wszystkie drzwi i okna były zabarykadowane szafami, stołami i t. p. Komisarz policyi wszedł do wnętrza przez okno pierwszego piętra — i ujrzał w przedpokoju starego Henryego na schodach leżącego w kałuży krwi. Zwłoki wykazywały 18 ran, zadanych nożem lub sztyletem.

Pokój Henryego był zupełnie splądrowany, wszystkie szafy i szuflady rozbite. Morderca nie tknął jednak pieniędzy ani papierów wartościowych; morderca szukał widocznie tylko jakiegoś dokumentu.

Zbrodnia spełniona została w ciągu nocy.

Morderca nie pozostawił śladu po sobie. Znaleziono jedynie odcisk krwawych palców na arkuszu bibuły, leżącym na biurku zamordowanego. Te krwawe ślady dano natychmiast fotografowi do zdjęcia — i następnie aparatem projekcyjnym rzucono je w powiększeniu na ekran, aby znawcy mogli dokładnie studyować linie ręki (tak zwana *daktyloskopia*, która już niejednokrotnie dostarczyła dowodów przeciw mordercom).

Aliści sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Do policyi wpłynęły anonimowe doniesienia jedno, iż mordercą jest ów „porządny" Walter drugie, że mordercą jest „zły Wiliam". Badania daktyloskopiczne wykazały jednak, że odcisk nie pochodził od palców żadnego z wymienionych braci, nadto byli obaj w stanie wykazać swe alibi.

Mimo to policya upierała się przy twierdzeniu, że jeden z nich musi być mordercą. Czego jednak szukali w pokoju ojca, nie mogła policya odkryć.

Nagle i niespodziewanie tajemnica wyjaśniła się. Jednemu z najdzielniejszych detektywów wpadło na myśl, zbadać też odciski palców najstarszego chorego w sanatoryum umieszczonego syna. Linie skóry na jego palcach odpowiadały odciskowi na bibule. Zdaje się, że ten chory umysłowo Charles obmyślił tę zbrodnię pod wpływem błędnej nienawiści ku ojcu, wymknął się nocą z sanatoryum i dokonał zbrodni, poczem wpadłszy w chwilowy szał, porozrzucał wszystko w pokoju.

Ale nie można jeszcze twierdzić, że zagadkowe morderstwo zostało już w ten sposób w zupełności wyjaśnione; tajemnicza sprawa nie przestaje intrygować policyi i opinii publicznej. O ewentualnym wyniku dalszego śledztwa doniesiemy.

Z SALI SĄDOWEJ.

Z procesów Floryanki.

Przed sędzią Chrząszczyńskim toczył się wczoraj w sądzie powiatowym dalszy ciąg rozprawy o obrazę czci, wytoczonej przez p. H. Szatkowskiego, dyrektora referenta Tow. Wzaj. ubezpieczeń w Krakowie przeciw p. Tadeuszowi Majewskiemu, emerytowanemu urzędnikowi tegoż towarzystwa. Pierwsza rozprawa odbyła się dnia 29-go stycznia br., sprawozdanie z niej zamieściliśmy w „Nowinach".

Rozprawa rozpoczęła się przesłuchaniem świadków na okoliczność, że rozdział zwrotów w roku 1898-9 był prawidłowy. Jako pierwszego świadka przesłuchano buchaltera p. Gustawa Adama, emerytowanego naczelnego buchaltera Floryanki. Świadek zeznaje, że zwroty przy zmianie roku administracyjnego się należały, a nie zostały zapłacone. Wyjaśnia dalej, że w sprawie tej zachodzi albo niezrozumienie ze strony naczelnego buchaltera, albo nacisk ze strony p. Piotrowskiego, który, jako dyrektor Floryanki, był tam panem życia i śmierci, albo jakaś dziwna manipulacya.

Adw. dr Skąpski, zastępca p. Szatkowskiego: Czy pan się czuje pokrzywdzony?

Świadek odmawia odpowiedzi, zeznaje jednak, że się po odszkodowanie nie zgłaszał

Dr Skąpski: Czy pan zna nowy statut?

Świadek: Nie.

Dr Skąpski: Czy buchalter musi się trzymać statutu?

Świadek: Naturalnie, o ile statut jest statutem.

Dr Skąpski: Otóż muszę zaznaczyć, że dyrekcya przy rozdziale dywidendy kierowała się statutem i nikogo nie skrzywdziła, byłoby bezprawiem, gdyby dyrekcya postąpiła tak, jak to twierdzi p. Adam.

Następnie p. Skąpski zadaje świadkowi szereg pytań ściśle fachowych, na które świadek odpowiada przy akompaniamencie ustawicznych starć słownych między zastępcą p. Szatkowskiego drem Skąpskim, a obrońcami oskarżonego drem Heskim i drem Sternbachem.

Następny świadek, p. Szukiewicz Bolesław, zaprzysiężony, zeznaje, że otrzymał raz od p. Majewskiego, który pracował pod jego kierunkiem, list z upomnieniem się o niewypłaconą dywidendę. List ten zaniósł do generalnego sekretarza Floryanki, którym wówczas był p. Szatkowski i zapytał, czy ma wypłacić, czy nie. P. Szatkow-

---

iskrzący się w pośród zmierzchu, na wiejskich ogniskach roznieciony ogień, a ciemne kłęby dymu wznoszą się z kominów ku niebu.

A przecież, rzecz niesłychana, złowróżbna... w tych wszystkich domostwach, z góry widzianych, w żadnem nie świeci się oknie, z żadnego komina dym się nie unosi...

Rzekłbyś, że wszystkie ogniska *pogasły* lub zostały *opuszczone*.

Rzecz jeszcze dziwniejsza, jeszcze smutniejsza: ze wszystkich dzwonnic odzywa się żałobny głos dzwonów...

Zdaje się, że tajniki życia tych osad połączyły się w tym żałosnym jęku dzwonów, rozlegającym się po wszystkich dolinach.

Czasami smutny ten głos, niesiony powiewem wieczornych wiatrów, dolatuje żałosnym jękiem aż do szczytów góry.

W głębi posępnych dolin, w każdej osadzie, wszędzie, gdzie dotąd było ciemne, błyskać zaczynają światła.

Lecz nie są to żywe światła iskrzących się ognisk wiejskich.

Są to czerwonawe płomyki, jakby pochodnie, i posuwają się zwolna ku *cmentarzom* każdego kościoła.

Skądże tyle pogrzebów?

Co to za dolina żałości, gdzie każda wieś opłakuje tylu zmarłych i grzebie ich o tej samej godzinie, tej samej nocy?

Niestety! śmiertelność następuje tam tak nagle, tak jest wielka, tak straszna, iż ledwo wystarczy żywych do grzebania umarłych.

W owych nieszczęsnych dniach straszliwy wędrowiec zwolna przebiegał ziemię od jednego do drugiego bieguna... z głębi Indyi... aż do krańców Północy... i od Północy... aż nad fale oceanu, oblewające brzegi Europy Zachodniej.

Ten wędrowiec, tajemniczy jak śmierć, powolny jak wieczność, nieubłagany jak przeznaczenie, straszny jak ręka Boga... ten wędrowiec, to... **Cholera**!...

. . . .

Godzina zmierzchu.

Na skalistym gruncie góry odezwało się powolne, równe, jakby miarowe stąpanie...

Po skałach rozległ się odgłos podkutego obuwia... między grubemi kłodami ponurych jodeł przeszedł jakiś człowiek.

Był on wysokiego wzrostu; głowę pochylił na piersi; twarz jego była spokojna, smutna...

Brwi, z sobą połączone od skroni do skroni, tworzyły na jego czole złowróżbną pręgę.

Zarówno na piasku, jak na mchu, pokrywającym skały, człowiek ten, przechodząc, zostawiał po sobie taki ślad wyciśnięty:

Człowiek ten, zatopiony w myślach, jakby nie słyszał żałobnego dźwięku dzwonów, rozlegającego się płaczliwym głosem po dolinie.

Szedł pogrążony w dręczących go myślach.

— Zbliża się 13 lutego... — myślał — zbliża się... dzień, w którym potomkowie mej ukochanej siostry, ostatnie odrośle naszego szczepu, zebrać się mają w Paryżu.

Niestety! lat temu sto pięćdziesiąt, odkąd prześladowanie rozproszyło po całej kuli ziemskiej tę rodzinę, za którą ja przez ośmnaście wieków z czułością dążyłem... nie odstępując jej we wszystkich wędrówkach, na wygnaniu, przy zmianach losu i imienia.

Ach! ta rodzina, pochodząca od mej siostry, siostry ubogiego rzemieślnika, jakąż słynęła wielkością, to znów jak była poniżoną, wzgardzoną, później jakim jaśniała blaskiem, potem w jakiej żyła nędzy, wreszcie jaką okrywała się sławą!

Iluż w niej zmazało się zbrodniami... ilu wsławiło się cnotami!

Historya tej rodziny to dzieje całej ludzkości!

Przez tyle pokoleń przebiegając żyły nędzarza i bogacza, mędrca i głupca, tchórza i bohatera, krew mojej siostry zachowała się aż do tej chwili.

Cóż pozostaje dziś z tej rodziny?...

Siedmiu potomków!

Dwie sieroty, córki wygnanej matki i wygnanego ojca.

Książę, tronu pozbawiony.

Ubogi ksiądz misyonarz.

Człowiek średniego stanu.

Młoda dziewica wielkiego imienia i majątku.

Rzemieślnik.

W nich wszystkich razem znajdziemy cnoty, męstwo, upodlenie, blask, nędzę naszego rodu!

Azya północna... Indye... Ameryka... Francya...

Oto miejsca, gdzie los ich rozproszył!

Dalszy ciąg nastąpi.

ski odpowiedział: Jak pan masz pieniądze, to pan zapłać, jak nie, to nie.

Dalszy świadek, Jan Wygrzywalski, emerytowany urzędnik Floryanki, zaprzysiężony, zeznaje, że według jego kombinacyi dywidenda nie została wypłacona według słuszności. To samo mówił świadkowi p. Szukiewicz.

Świadek Niżyński zasłania się ciągle brakiem pamięci, nie pamięta, czy dywidendę wypłacono tym, którzy się po nią zgłosili.

Wobec tego adwokat dr Sternbach stawia wniosek o zawezwanie pp. Kieszkowskiego, Bochenka, Kańskiego i Ślaski na okoliczność, że im świadek o tem opowiadał.

Świadek Wiktor Gablenz, obecny naczelny buchalter Floryanki, stwierdza, że dywidendę rozdzielano ściśle według statutu. P. Szukiewicz opowiadał mu, że się raz ktoś po wypłatę dywidendy zgłosił, ale mu jej nie wypłacono, jako nie należącą się. Oświadcza dalej, że z rozdziałem dywidendy w roku 1899 postąpiono zupełnie prawidłowo, według statutu, zatwierdzonego przez zjazd delegatów.

Dr Sternbach wnosi o zawezwanie szeregu świadków, między innymi radcę ministeryalnego Blaschke, który z ramienia ministeryum przeprowadzał rewizyę w Towarzystwie Wzaj. Ubezp. oraz byłego dyrektora Florynki p. Piotrowskiego.

Sędzia wszystkim tym wnioskom odmówił.

Po przemówieniu zastępcy oskarżyciela prywatnego i obrońców oskarżonego, sędzia p. Chrząszczyński ogłosił wyrok, skazujący p. Majewskiego na 1 miesiąc aresztu, zamienionego na grzywnę oraz na ponoszenie kosztów postępowania karnego. Zastępca oskarżyciela prywat. dr Skąpski wniósł odwołanie od niskiego wymiaru kary, a obrońcy oskarżonego pp. dr Heski i dr Sternbach odwołanie od winy i kary.

Małoletni zbrodniarze.

Przed trybunałem sądu przysięgłych przesunął się znowu wczoraj krwawy dramat wiejski, tem przykrzejszy, że bohaterami w nim były dzieci prawie, niedorostki, a rezultatem dramatu śmierć młodego parobczaka.

Rzecz działa się we wsi Strzelce wielkie. — Przystojny parobczak Leon Młynarczyk „zalecał się" do córki służącego dworskiego Turocza. Nie wiadomo z jakich powodów, jednak wkrótce przestał się zalecać, a nawet nie zaglądał do dawnej bohdanki. To było przyczyną, że rodzina Turoczów krzywo na niego patrzyła. Dwaj młodzi Turoczowie, 16-letni Józef i 14-letni Jan szczególniej wzięli sobie do serca usunięcie się Młynarczyka od siostry, a gniew ich wzmógł się jeszcze przez to, że słyszeli, iż Młynarczyk robi na ich ojca donosy do dworu. Do tych dwóch niedorostków przyłączył się i trzeci, również 16-letni Wojciech Dąbrowski, który znowu miał złość na Młynarczyka, za to, że on się niepochlebnie wyrażał o jego matce.

I oto zawiązek dramatu.

Pierwszy jego akt rozegrał się na imieninach u Stanisława Kurka. Między bawiącymi się gośćmi znaleźli się także wymienieni wyżej chłopcy i Młynarczyk. Jan Turoczy, podpiwszy sobie, chciał tam odrazu nabić Młynarczyka, ale współbawiący się przeszkodzili temu i nie dopuścili do bitki. — Ale to rozjątrzyło jeszcze bardziej golowąsego parobczaka, któremu wtedy nagadano od smarkaczów i t. p. Poprzysiągł więc Młynarczykowi krwawą zemstę.

Dnia 4 listopada ubiegłego roku rozegrał się drugi akt dramatu. Wojciech Dąbrowski i Józef Turoczy zabawiali się w pewnym domu, gdy do nich przyszedł niejaki Kapustka i oznajmił im, że Młynarczyk idzie drogą z Janem Turoczym. „Musimy go nabić!" — odpowiedzieli obaj i wyszli z domu, a Józef Turoczy zabrał ze sobą kół. — Wyszedłszy naprzeciw Młynarczyka, zaczęli mu obaj z Dąbrowskim dogadywać, tak, że musiało przyjść do bitki. I tu się okazało, że Jan Turoczy umyślnie, zdaje się, zwabił Młynarczyka w krytyczne miejsce, bo gdy tylko bitka się zaczęła, odstąpił Młynarczyka i stanął po stronie brata. W bitce Dąbrowski wyrwał Turoczemu kół i uderzył nim Młynarczyka dwa razy tak, że kij się przetrącił, a Jan Turoczy pchnął Młynarczyka wtedy tak, że omało nie wpadł do wody. Widząc przewagę Młynarczyk zaczął uciekać i dobiegł do domu niejakiego Jędrzeja Jewuły, chcąc się tam schronić, ale że drzwi były zamknięte, więc chwycił za kół z płota i w pozycyi obronnej, oparłszy się o ścianę, czekał na nieprzyjaciół.

I tak się zaczął akt trzeci, który się skończył katastrofą. Jewułowie, usłyszawszy dobijanie się do drzwi, wyszli na dwór. Zachęcony ich obecnością Młynarczyk nabrał odwagi i zawołał: „Chodźcie no teraz do mnie!" Wyzwanie nie pozostało bez skutku. Usłyszawszy powyższe słowa Dąbrowski podszedł ku Młynarczykowi i jednem silnem uderzeniem w ręce wytrącił mu kół z ręki. Młynarczyk schylił się, aby broń podnieść, ale w tej chwili Dąbrowski porwał kół z rąk jednego z braci Turoczych i uderzył nim Młynarczyka tak silnie, że biedny parobczak padł na ziemię z pękniętą czaszką. Nieprzytomnego zaniesiono do domu ojca, gdzie leżał przez kilka dni, lecz przytomności już nie odzyskał, a w 6 dni potem oddał Bogu ducha. Sekcya lekarska stwierdziła, że śmierć nastąpiła skutkiem pęknięcia czaszki od razu, zadanego przez Dąbrowskiego.

Czwarty akt rozegrał się wczoraj przed trybunałem przysięgłych. Na ławie oskarżonych zasiedli Wojciech Dąbrowski oraz Jan i Józef Turczowie. Po przeprowadzeniu rozprawy na podstawie werdyktu przysięgłych trybunał skazał Wojciecha Dąbrowskiego na 13 miesięcy, a obydwóch braci Turoczych każdego na rok ciężkiego więzienia.

Mróz a — prezydent Leo.

Przechodziłem wczoraj przez ulicę Grodzką.— Przed magistratem przystanąłem około ustawionego tam termometra. Było tam kilkunastu ludzi, ciekawych, taksamo, jak i ja, o ile też mróz zelżał. Była godzina 8 rano, zimno więc było porządne, ale na termometrze było tylko 12 stopni Celsiusza.

— Jakto? Tylko dwanaście stopni? — zawołałem mimowoli, bo aż się trząsłem ze zimna.

— Tylko dwanaście! — ozwał się z powątpiewaniem drugi jakiś jegomość.

— Ii, nie wierz pon! — zwrócił się do mnie jakiś fiakier — to nieprowda! Dzisioj jest zimnij!

— No, jak termometr tak wskazuje... — ozwałem się.

— To nieprowda! — z uporem mówił dryndziarz. — To pon Leo umyśnie tak tyrmomenter nakręciuł, coby ludzie nie narzykali, że węgli nima. Ale jes więcy, jak dwanoście.

Roześmiałem się.

— Cóżby prezydent miał do termometra!? — rzekłem.

— No, no. Oni tak zawsze ludzi kiwajom. A poco by ten tyrmomenter tu stoł? Juści, żeby pon Leo ludzi kiwoł, żeby na węgiel nie narzykali.

Ciekawy dryndziarz, co? *j. r.*

Co słychać w mieście?

Kraków, dnia 10 lutego 1907.

Zima zagościła u nas na dobre. Od trzech dni mamy już stale mróz, który nie zniża się poniżej 8 stopni Cels. Krakowianie jednak powoli tak się już do zimna przyzwyczaili, że wcale na mróz nie narzekają. Ślizgawki roją się codzień od amatorów sportu łyżwowego, sanki przemykają jeszcze czasami po ulicach, z których już zmieciono śnieg, ruch wcale pokaźny. Widocznie mróz już na Krakowian nie działa tak przygnębiająco. Jak to się można do wszystkiego przyzwyczaić.

Budżet miejski. Projekt budżetu miasta Krakowa wyłożony został w sali prezydyum magistratu na I. piętrze do przeglądania przez dni 14.

Budżet przedstawia się w cyfrach jak następuje: wydatki zwyczajne 3,466.398 kor., wydatki nadzwyczajne 234.415 kor., razem 3,700.813 kor. Dochody zwyczajne 3,558.697 kor., nadzwyczajne 142.116 kor., razem 3,700.813.

Karnawał, a raczej ostatki karnawałowe, obchodzi Kraków z niebywałą oddawna świetnością. W sobotę wieczór odbyło się w Krakowie kilkanaście wspaniałych zabaw, na dzisiaj zapowiedziano ich też nie mało. Ludziska tak się wogóle rozbawili, że dzisiaj o niczem się nie słyszy, jeno o zabawach. Zdaje nam się, że miny zrzedną trochę po — popielcu.

Zgromadzenie służby miejskiej wszelkiej kategoryi odbyło się w piątek wieczorem w wielkiej sali Domu robotniczego przy ul. św. Tomasza. Zgromadzeniu, na które przybyło przeszło 200 robotników miejskich, przewodniczył p. Zgórniak, sekretarz Polskiego Związku katolickich stow. zawodowych. Z ramienia władzy przybył na zgromadzenie p. naczelnik Nowotny, aby się osobiście przekonać o skargach i krzywdach, jakie służba miejska, pod jego kierunkiem pozostająca, ponosi. Zgromadzenie zagaił p. Język, który w barwnych słowach przedstawił potrzebę organizowania się i wezwał obecnych do zapisywania się do stowarzyszenia służby miejskiej, jakie niedawno powstałe jako osobna grupa przy Związku. Następnie zabrał głos robotnik miejski Capi omawiał sprawę podwyższenia płac robotnikom plantacyjnym. Robotnik Dziadoń wezwał do organizowania się, bo jedynie przez organizacyę silną i stałą można sobie wyrobić polepszenie bytu. Dzisiaj robotnicy miejscy muszą pełnić służbę stróżów w domach prywatnych, bo inaczej nie mogliby wyżyć. Nic dziwnego, że nie spełniają należycie swoich obowiązków, bo nie mają za to płacy odpowiedniej. Mowca illustrował swoją mowę poetycznemi porównaniami, zaczerpniętemi z wyobraźni ludu wiejskiego. O celach organizacyi mówił p. Zgórniak, który w obszernym referacie wykazał, że położenie służby miejskiej jest takie, że nikt nie wie, jak długo robotnik ma pracować, czego od niego będą wymagali i co się z nim jutro stanie. — Mowca domaga się ubezpieczenia służby miejskiej na starość, poczem w dosadnych słowach charakteryzuje ogólny obraz panujących wśród służby stosunków. Podnosi złe obchodzenie się ze służbą, oraz liche płace służby. Wszystkie kategorye służby domagają się polepszenia płacy, która za 18 godzinną nieraz robotę wynosi 80 centów za dobę.

W tej sprawie wniesiono do prezydyum magistratu prośbę, aby: wszystkim kategoryom służby podniesiono płacę o 30%, a kanalarzom zmniejszono pracę o 2 godziny i podniesiono płacę o 50%, aby robotników, którzy od lat pracowali w jednym zakresie służby nie przenoszono do innej służby, aby w niedzielę robotnicy mieli wypoczynek. Dalej napiętnował mowca postępowanie magistratu, który od robotników miejskich pobiera po 40 koron kaucyi, a nie wydaje na to żadnego potwierdzenia, tak, że w razie śmierci robotnika, wdowa po zmarłym niema w ręku żadnego dokumentu i kwoty tej odebrać nie może.

Referat ten nagrodzono hucznymi oklaskami. Przemawiał dalej p. Dziadoń, poczem zabrał głos naczelnik Nowotny i zaznaczywszy na wstępie, że bardzo go cieszy, że ze wszystkimi może się otwarcie porozumieć, wezwał zgromadzonych, aby sumiennie spełniali swoje obowiązki, a tem zmuszą gminę do zajęcia się nimi. Oświadczył dalej, że od 1 marca spodziewa się podwyżki dla każdego, jakoteż, że dla służby miejskiej wybudowany zostanie osobny dom na mieszkanie dla robotników. Plany na ten dom są już gotowe, a Rada miejska uchwaliła już pewną sumę na budowę. Po życzliwem i serdecznem przemówieniu p. Nowotnego nagrodzonem oklaskami zabrał jeszcze głos p. Zgórniak, poczem uchwalono przedłożone przezeń rezolucye, wyżej przez nas streszczone i zgromadzenie zamknięto.

Nowa szkoła w Krowodrzy. Uroczyste poświęcenie nowego gmachu szkoły w Krowodrzy odbędzie się 11 lutego o 10-tej przedpoł.

Kradzież u muzyka. Nawet dzieci Muzy nie cieszą się względami złodziei, chociaż powiadają, że muzyka działa nawet na najgorszego człowieka uszlachetniająco. Aresztowano wczoraj Franciszka Wilkosza, znanego złodzieja, zostającego pod dozorem policyjnym, z zawodu niby ślusarza ze Świątnik górnych, który zakradł się do przedpokoju znanego pianisty prof. Lalewicza i ściągnął tam palto, wartości 80 kor. Nie udało mu się jednakże, bo widocznie miał pecha. Kiedy bowiem schodził z piętra na dół, spotkał na schodach służącego profesora, który rozpoznał palto jako własność swego chlebodawcy i sprytnego złodzieja zatrzymał i oddał go w ręce policyi. Okazało się, że jednak dzieci Muzy cieszą się wprawdzie nie szacunkiem złodziei, ale opieką samej bogini.

Chciał okraść piekarza. Franciszek Palonek, 22-letni parobczak, służył u p. Leona Schleichkorna, piekarza przy ul. Długiej. Wiedząc o tem, że pan pryncypał ma zazwyczaj w kasie pieniądze, sprytny parobczak dobrał się wczoraj do kasy i ściągnął z niej 47 koron i parę halerzy. Widocznie jednak nie ma jeszcze należytej wprawy w okradaniu chlebodawców, bo go natychmiast przyłapano i nie tylko odebrano wszystkie skradzione pieniądze, ale nawet oddano Palonka w ręce policyi, która go aresztowała.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

Niedziela o 3 popoł.: „Betleem polskie", jasełka w 3 aktach L. Rydla, muzyka M. Świerzyńskiego (popularne).

Niedziela o godz. 7: „Cierki owoc", komedya w 3 akt. Roberta Bracco.

Poniedziałek: „Rycerze północy", dramat w 4 akt. H. Ibsena.

Poniedziałek: „Rycerze północy", dramat w 4 akt. H. Ibsena.

Hajdamacy lwowscy.

Stan zdrowia prof. Winiarza.

Telegram „Nowin".

Lwów. (Tel. pryw.) Z polecenia sędziego śledczego udał się do sekretarza uniwersytetu prof. Winiarza lekarz sądowy, aby jeszcze raz stwierdzić stan jego zdrowia. Lekarz sądowy, któremu towarzyszył prof. dr Schramm, stwierdził, że pomimo, iż od napadu minęło z górą dwa tygodnie, wszystkie sińce są widoczne. Nadto znaleziono na obu rękach wiele drobnych ran, pochodzących od podrapania. Głęboka rana na głowie, zadana prawdopodobnie toporem u laski, jeszcze **nie zagojona**. Dalej stwierdzono, że mały palec u prawej ręki jest złamany. Ponieważ palec ten zaczął się zrastać nieprawidłowo, przeto musiano go złamać na nowo i na nowo złożyć, aby nie deformował całej ręki. **Jak silnymi były ciosy** dowodzi fakt, że wszystkie pierścionki są tak pogięte, że straciły swą pierwotną kolistą formę.

Wybuch na torpedowcu.

Lorient (Francya). Łódź torpedowa Nr. 339 przedsięwzięła wczoraj próbną jazdę. Wszyscy członkowie komisyi, którzy odbierali łódź, znajdowali się na pokładzie. W chwili, gdy próba się już kończyła, nastąpiła eksplozya kotła, a płomień uderzył właśnie w miejsce, w którem znajdowało się 11 ludzi: **9 z nich zginęło, jeden** odniósł **ciężkie** rany, jeden uszedł zupełnie szwanku. Jak stwierdzono, wypadek nastąpił skutkiem pęknięcia rury w aparacie, który miał służyć na to, aby zapobiegać podobnym katastrofom. Jak słychać, aparat ten podobno wcale nie funkcyonował.

Paryż. Po otrzymaniu wiadomości o wypadku na łodzi torpedowej Nr. 339, zatelegrafował minister marynarki do prefekta Lorient, że daje mu do dyspozycyi wszelkie potrzebne sumy, aby nieść pomoc rodzinom ofiar katastrofy.

Lorient. Katastrofa wywołała w arsenale wielkie wzburzenie. Wielu robotników, którzy mieli krewnych na łodzi torpedowej, pobiegło do szpitala, aby dowiedzieć się o nazwiskach ofiar. — Prefekt zawiadomił rodziny ofiar o nieszczęściu.

Lorient. O godz. 4-tej przywieziono łódź torpedową Nr. 339 napowrót do Lorient. Ludzie z załogi opowiadają liczne szczegóły o katastrofie. — Opowiadają oni, że marynarz Le Vay, który odniósł ranę, skoczył pierwszy do kotłowni, za nim zaś marynarz Brochard. Obaj okazali wiele poświęcenia i odwagi. Katastrofa byłaby przybrała jeszcze większe rozmiary, gdyby Le Vay nie był zakręcił kurków i nie otworzył wentylów.

Z Rosyi i zaboru rosyjskiego.

Telegramy Nowin.

Bomby w uniwersytecie.

Moskwa. W gmachu kursów uniwersyteckich dla kobiet odkryła policya skład bomb i dynamitu. Ośm studentek uwięziono.

Prawybory w Rosyi.

Petersburg. Wedle depesz organu kadetów „Rjecz" z 19 gubernij, wybory wyborców dały rezultat **pomyślny dla opozycyi**. Z 2600 wybranych 1402 należy do opozycyi, 820 do stronnictw prawicy, 368 jest bezpartyjnych. Przy wyborach w Inflantach wybrano 2 konstytucyjnych, 7 kadetów, 6 radykałów; wedle narodowości: 1 Rosyanina i 14 Estończyków i Łotyszów.

Głód w Rosyi.

Petersburg. (Pet. aj. tel.) Car zarządził, aby dla potrzeb obszarów dotkniętych klęskami i na pokrycie przewidzianych w budżecie koniecznych i nie dających się odłożyć wydatków, emitowano w przepisanym porządku 4-ro procentową rentę państwową nominalnej wartości 70 milionów rubli. (Wiele z tego pokradną?).

Telegramy „Nowin".

Wiedeń. Stan zdrowia dra Luegera jest względnie dobry.

Sprawa Polony'ego.

Budapeszt. Dziennik „Budapest" ogłasza oświadczenia Kossutha i naczelnego redaktora tego pisma, że nie wiedzieli o zamieszczonych w tem piśmie zeznaniach Schoenbergerowej, że nie mieli zamiaru wciągnąć w tę sprawę hr. Andrassy'ego.

Burze we Włoszech.

Marina di Cattanzaro. (Poł. Włochy). Skutkiem silnej burzy morskiej, część wybrzeża stoi pod wodą. Kilka domów uległo zniszczeniu. Jedna osoba zginęła, 7 odniosło rany. Burza trwa dalej.

Jaka będzie pogoda w niedzielę?

Prognoza wiedeńskiej stacyi metereologicznej: Galicya zachodnia: Przeważnie pochmurno, mierne wiatry, temperatura mało zmieniona.

L. 4191.

OGŁOSZENIE.

W krajowej szkole ogrodniczej w Tarnowie rozpoczyna się rok szkolny 1907/1908 w pierwszej połowie kwietnia 1907.

Celem krajowej szkoły ogrodniczej w Tarnowie jest teoretyczne i praktyczne wykształcenie młodzieży na ogrodników uzdolnionych do prowadzenia ogrodów wiejskich.

Do szkoły tej może być przyjęty każdy kandydat, który:

1) wykaże się, że przynajmniej 15 rok życia ukończył, że odbył z dobrym postępem chowlądkowę naukę w szkole ludowej, — jest umysłowo i fizycznie zupełnie zdrów i nienagannych obyczajów;

2) w terminie przez Dyrekcyę oznaczonym złoży egzamin wstępny, służący do ocenienia, czyli kandydat jest wogóle dostatecznie rozwinięty umysłowo, ażeby mógł korzystać z nauk w tej szkole udzielanych.

Kandydaci, którzy odbyli przynajmniej jednoroczną praktykę ogrodniczą, a uczynią zadość powyż wymienionym warunkom, mają pierwszeństwo do przyjęcia przed innymi.

Koszta utrzymania ucznia w zakładzie wynoszą 380 koron rocznie. Synowie ubogich rodziców przyjęci być mogą na koszt funduszu krajowego.

Każdy wstępujący do zakładu powinien być zaopatrzony w dostateczną bieliznę i dobre buty juchtowe.

Podania o przyjęcie wnosić należy najdalej do 15 marca 1907 do Dyrekcyi kraj. szkoły ogrodniczej w Tarnowie, która na żądanie udzieli wszelkich bliższych wyjaśnień. 117

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. Druk W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.